Lwów, 12. Maja. №56. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za następ- po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział IX.

ZJAZD OBYWATELSKI.

(Ciąg dalszy.)

Grono gości zwiększało się co chwila. Marszałek coraz częściej zaglądał do tabakierki, co było u niego dowodem zaambarasowania się. Ależ była nie mała przyczyna. Przybywały bowiem do sali prócz znajomej szlachty i prościejsze kapoty, w których marszałek poznawał nie bez pomieszania drobną szlachtę zagonową, która z różnych stron sąsiadowała z chorążym.

Byli tam Jurkowicze z Jurkowic, sławni myśliwi; byli i Gałkiewicze z wielkich i małych Gałek, sławni krzykacze i opoje niepospolici; było nareszcie prócz wielu innych dwóch braci Niedankowskich z Niedanek, sławnego zaścianku bo rodzącego samych zawadyaków. Niedankowscy Piotr i Paweł byli typem tego rodzaju sławnym w okolicy. Bracia bliźnięta, olbrzymiego wzrostu, barczyści, nie złej tuszy, z karkami wołu godnemi, byli tak do siebie podobni szerokiemi i rumianemi twarzami o jasnych włosach, jasnych oczach i najjaśniejszych białych prawie wąsach, że całem ich szczęściem była różnica, pochodząca z dwóch szram głębokich, które oba oberwali przez całą twarz na jakiejś zaściankowej zwadzie; pan Piotr miał szram od lewego ucha, a pan Paweł od prawego.

— Dziwna mieszanina!.. ozwał się pan szambelan z cicha do pana Felicyana Mruczkowskiego podsędka, dalekiego swego krewnego, którego w sąsiedztwie nazywano cieniem marszałkowskim. Porównanie to wzbudzało zawsze wesołość niepospolitą, i słusznie, bo cień była okropnie długa i chuda, podczas gdy marszałek jak wiemy był maleńki i tłuściutki.

— Cień oczywista! ale przy zachodzie słońca! mawiał pan Franciszek Gałkiewicz, podstolic niewiedzieć z pod jago stołu, którego zwali: *Pal go diabli*, bo takie było jego przysłowie, a który był starym kpiarzem, trochę pieczeniarzem a nawet poetą okolicznościowym w rodzaju księdza Baki.

W znaczeniu właściwem tego słowa pan podsędek był rzeczywiście cieniem marszałka, bo się zawsze koło niego kręcił, i milcząc najczęściej postępował za nim krok w krok, podziwiając każde słowo jego mruknieniem cichszem lub głośniejszem. Pomrukiwanie różnotonne z dodatkiem wykrzykników jak najkrótszych stanowiły alfabet języczny pana Felicyana Mruczkowskiego.

— Hum!.. hum! hum! zamruczał pan podsędek na trzy tempa.

— Musi z tem być połączony cel jakiś!.. mówił dalej marszałek z wyrazem niepokoju w twarzy i w oczach.

— Ho! ho! ho! odrzekł znaczącym głosem podsędek.

— Nieprawdaż mości podsędku?.. zapytał marszałek.

Podsędek zgiął się we dwoje, zbliżył się do ucha mówiącego i odrzekł z wyrazistym półgłośnym przyciskiem:

— Aho! oho!..

— Zobaczemy dalej! rzekł znowu marszałek, zadowolniony odpowiedziami podsędka, sobie tylko zrozumiałemi.

Szczególnych takich rozmów było niemało, co formowało gwar powszechny, ale niewyraźny; grona bowiem rozerwane nie łączyły się razem, ani też rozmowy zlewały się w pewną ku jednemu celowi zakierowaną całość. Przeciwnie nawet, szczególne grona usuwały się jedne od drugich, jakby się bały wcześniejszem połączeniem dać pochop do jakiej ogólniejszej rozmowy. Każdy z obecnych wiedział mniej więcej, po co tam był powołany, lecz większa część jak to się zwykle dzieje, przyjechała bez wyrobiongo zdania jawnego, czekała na rezultat tego zjazdu, aby wedle niego popłynąć za kierunkiem tego lub owego prądu.

Najgłówniejszem było grono, które się pomału zebrało w około pana Artura Wendy. Otoczenie to jego nie składało się koniecznie z najmłodszych twarz, jakby się to zdawać powinno, bo przeciwnie najwięcej w nim bylo ludzi średniego wieku; ale to pewna, że się składało z twarz najżółciejszych, postaci najsłabszych, wyrazów najmniej czyli raczej najgorzej znaczących. Było to po większej części towarzystwo złożone z szumowin każdego towarzystwa.

Były tam piękne, historyczne nawet nazwiska, były znaczne majątki, były nawet dobre wychowania, światowe polory głębsze pojęcia — ale niebyło obyczajów, niebyło ani wiary w przeszłość, ani nadziei w przyszłość; ani prawdziwej miłości do swego. Byli tam w tem kółku po większej części sami utracyusze, karciarze, zwolenniki łatwych romansów, i tego życia łatwego z dnia w dzień, choćby to życie miało

kosztować najtrudniejsze ofiary, czci, sumienia i obywatelskiego znaczenia.

Pan Artur, który miał ogromny majątek, i lubił żyć co się należy, w ogromnem był u nich poszanowaniu; a nawet bali się go po części, raz dla tego, że każdy prawie z nich był jego dłużnikiem, a powtóre, że pan Artur który pierwsze dziecinne lata i większą część młodości stracił po najpierwszych krajowych i zagranicznych salonach, miał ostry bardzo dowcip, którym rąbał niemiłosiernie i w tem ich czczym świecie śmiertelne nim zadawał rany. Pomiędzy otaczającemi go był i nasz znajomy brygadyer Woliński, którego twarz wyrazista a ciemna, dziwnie odbijała od całego otoczenia; najdziwniejszym był uśmiech jego, do którego się przymuszał widocznie, a który był więcej znudzony i szyderczy, niżeli wesoły.

— Kochany Arturze! ozwał się maleńki podsadkowaty jegomość z rzadkim a czerwono jasnym włosem na głowie i twarzą doskonałym trądem ukameryzowaną; powiedz mi cóż to za kolekcyą oryginałów pościągał twój dziad, i po co?

— Dziwię się mój Mieczku! odrzekł Artur uśmiechając się dowcipnie i złośliwie, że potomek domu książęcego nie poznaje zjazdu braci szlachty, żądnej sejmikowania nad sprawą publiczną. Twoi antenaci musieli ci niemało pamiątek zostawić w tej mierze, bo oni lubili trząść sejmikami i sejmami nawet.

— Que le diable les emporte! zapisnął książę Mieczysław, woleli by byli mniej sejmikować, i tracić na tę szlachecką hołotę, a wnukowi biednemu więcej zostawić grosza niżeli zaszczytów.. Więc to tedy ma być rodzaj konfederacyi?

— Vous avez trouvé le vrai mot de l'enigme!..

— Konfederacyi!.. odezwał się pan podkomorzy Onufry Zwierciński, który właściwie nie należał stale do żadnego z gron w sali karmazynowej potworzonych, ale za to ciągle przebiegał z jednego do drugiego, nadstawiając uszy swoje potężne, oparte na potężniejszych jeszcze a kapitalnie wykrochmalonych końcach kolnierzykowych.

Pan podkomorzy, trochę garbaty, trochę kulawy, trochę zyzooki i brzydki doskonale mimo czarnych oczów przenikliwych, o spojrzeniu ciekawem i badawczem, był jak to słyszeliśmy z ust pani Wolińskiej, pocztylionem plotek okolicznych, które zbierał z największą ciekawością, roznosił z równą gorliwością, a rozpowiadał z niepospolitą złośliwością. Majątku ludziom znanego nie posiadał, prócz jakiejś wsi na Żmudzi, w którą nikt nie wierzył, a przecież żył sobie doskonale to u przyjaciół, których miał mnóstwo, to w mieście. Przyjaciół miał jak mówiliśmy bardzo wiele, i tak było w istocie; był to bowiem człowiek ogólnie niecierpiany, ale się wszyscy go bali, a więc całowali, ściskali witali, karmili i poili aż miło. Bali się go po większej części, dla dowcipu i złośliwości, a po części dla przyczyn instynktowych chyba, bo na wierzchu nie było żadnych, ani też je jedni drugim powierzali sobie, chyba wzrokiem ku sobie rzuconym ostrożność nakazującym, skoro się pojawił pan podkomorzy.

— Konfederacyi! powtórzył sam do siebie, i przemykał dalej z grona do grona, roznosząc to słowo każdemu do ucha powiedziane, z mnóstwem komentarzy własnego utworu, które zwykle w następnem gronie podawał jako zdania tam od tego lub owego pana posłyszane.

Sala była napełniona, ale chorąży stał ciągle koło drzwi jeszcze, jakby kogo oczekiwał..

— Niewiem na kogo czeka?.. zapytał marszałek.

— Hej! hej! hej! odmruknął podsędek, co naturalnie nie wiele nauczyło marszałka.

— Szambelana Siarkowskiego niema jeszcze podobnoś; ozwał się ktoś z przytomnych.

— Pal go djabli! ozwał się podstolic. Nasz szambelan nie w ciemie bity, nos ma wyśmienity, boi się ostrej szabli, pal go djabli!

— Ale płazem! dodał pan Paweł poprawiając czuba.

— Nie jest on przyjacielem konfederacyi! przemówił podkomorzy zbliżając się do marszałka lisim krokiem.

— Konfederacyi! zawołał marszałek.

— Hou! mruknął podsędek.

— Zapewne w dobrym jakim celu, kiedy mamy obecnego tu jaśnie wielmożnego marszałka.

Nic na to nie odpowiedział pan marszałek, który mimo swojego stanowiska obawiał się uszów i języka pana podkomorzego.

W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł szambelan Siarkowski, cały świetny i barwny i świeży, a za nim nasz bohatyr Witołd, rumieniący się na widok tak licznego zgromadzenia.

— Cud nad cudami! baranek między wilkami, pal go djabli! ozwał się pan Gałkiewicz.

Artur który stał naprzeciw drzwi wchodowych, pierwszy postrzegł Witołda, zmarszczył czoło, i wyrzekł pełen złości:

— Do kompletu brakowało nam tego żebraka, pod progiem mniszym wychowanego.

— C'est de l'impudence! dodał książę Mieczysław.

— Kto to jest taki? zapytał nagle brygadyer z oczami ku drzwiom wytrzeszczonemi.

— To przecie nasz szambelan, ozwał się ktoś z obecnych.

— Ale ten!.. ten za nim!.. pytał dalej brygadier zmienionym głosem.

— Brygadier dobrodziej niepoznaje nauczyciela muzyki swojej córki, faworyta domowego, odpowiedział Artur szyderczo.

— To on! on!.. mówił dalej brygadier w pół cicho, i oczami iskrzącemi pożerał Witołda.

— Nie spodziewałem się prawdziwie widzieć asindzieja ozwał się chorąży po przywitaniu. Asindziej unikasz zgromadzeń nieco liczniejszych...

— Już to miałem znowu tę właściwość, że nie lubiłem ciżby i gwaru; ale tym razem, było mi bardzo miło przybyć na wezwanie asana dobrodzieja...

— Z adjutantem nawet! jak widzę przerwał chorąży, dumniejszym głosem, i ostro spojrzał na Witolda.

— Tem więcej! dodał szambelan z wyrazem stanowczym, który dziwnie uszlachetnił twarz jego; że chciałem panu chorążemu i szanownym gościom jego, przedstawić mojego syna przybranego, który jako młodszy odemnie, i będąc odtąd przedstawicielem jedynym mojego imienia i mojego majątku zdoła najlepiej odpowiedzieć celowi i wymaganiom tego zgromadzenia szanownego.

Przemówienie to trafiło do serca chorążego, który porwał szambelana z tem wyższym zapałem, im więcej niespodziewał się widzieć go u siebie, znając jego w kwestjach publicznych tchórzliwy charakter.

Niemałą też walkę przebył szambelan, który lubiąc spokój i wygódki nie rad patrzał się na wszystkie gwałtowniejsze nieco ruchy, których się obawiał, bo przebył ich nie mało przez ciąg życia swego, a nigdy się nic z nich korzystnego nie doczekał. Lecz przemogło uczucie jakie miał pomimo woli do naszego bohatyra, wzmocnione jeszcze ochotą jaką miał zawsze mieszać się w cudze sprawy, mianowicie jeżeli miały jaki pozór romansowy.

— Oddaję go pod opiekę asana dobrodzieja, który najlepiej wyprowadzić go potrafi na drogę, po której może zdobyć stanowisko godne naszego położenia...

— Służyć krajowi! pod świętemi znakami, których oczekujemy, jedyne jest moje życzenie! ozwał się młodzieniec, spuszczając skromnie oczy przed spojrzeniem chorążego.

— Dobrze mościmdzieju! dobrze mój chłopcze! wyrzekł stary pan Krzysztof z rozczuleniem i ścisnął go za rękę.

— Dziękuję asindziejowi za ten dar! i przyjmuję go w dzisiejszej chwili za dobrą wróżbę.

Tymczasem podkomorzy który już był kolo nich z swojem długiem uchem, rozniósł tę wiadomość po calem zgromadzeniu.

Artur usłyszawszy o tem, gniewne i piorunne rzucił spojrzenie na bohatyra naszego, mierząc go oczami pogardliwie. Witołd nie dostrzegł nawet tego spojrzenia. On był myślą gdzie indziej. Przed godziną jeszcze był w Słobódce, i tam rozmawiał z Antosią.

Ich rozmowa była krótka, ale pełna uczuć najserdeczniejszych. W obec matki błogosławiającej dzieciom swoim, i szambelana który przy tej sposobności wyżył większą połowę tabakiery, powiedział Antosi:

— Kocham cię nad życie, i chcę stać się ciebie godnym, Obowiązek wzywa swych synów! pójdę walczyć i wywalczę sławę dla kraju, dla mnie najwyższe szczęście!...

— Idź mój synu! łkała matka udając spokój...

— Idź Witołdziu!.. kiedy woła cię świętszy nad wszystko obowiązek, ale wracaj, bo ja bez ciebie żyć nie mogę.

— Kochasz mnie?!.

— Kocham!. odrzekła.

Kocham powtórzyli oboje, niezmordowani tem słowem nigdy dosyć powtórzonem, którego dźwięk zawsze jest świeży, zawsze pelen najcudniejszej harmonii.

Pożegnali się choć się mieli widzieć jeszcze. Pani Wolińska była spokojniejsza nieco, a opierając się na pewnej w tajemnicy serca chowanej nadziei. Witołd był rozmarzony, uniesiony w świat zupełnie nowy; jedyną jego było przykrością, że ojciec Dominik na kilka tygodni był się oddalił w zakonnych interesach do drugiego klasztoru; nie mógł się więc z nim podzielić radością swoją i nadziejami.

Wszyscy tymczasem w sali chorążego cisnęli się do naszego bohatyra, i jedni szczerze, drudzy obłudnie winszowali mu, paląc komplementa tuzinkowe. Brygadier na nic nie zważając, patrzał w niego ciągle, a wyraz jego twarzy stawał się coraz posępniejszy.

Chorąży stał jeszcze ciągle przy drzwiach, gdy wbiegł przez nie pan Marek i szepnął coś swemu panu do ucha. Chorąży usłyszawszy słowa przez dworzanina wyrzeczone wziął marszałka i kilku innych jeszcze znakomitszych obywateli, i wyszedł z niemi naprzeciw ostatniego gościa jakiego oczekiwano jeszcze.

Gościem tym był kanonik infułat, xiądz Wojciech Godziemba. Był to człowiek w sile jeszcze wieku. Pięknie zbudowany, szlachetnej postawy; z wyrazem uszanowanie budzącej powagi na twarzy, o rysach wydatnych, szczerych wyższością umysłu napiętnowanych. W calej okolicy jeden tylko był głos o nim, głos powszechnego szacunku wyższych i niższych, nie tylko dla jego głębokiej nauki, dla wymowy tak doskonałej, że go złotoustym zwano, ale mianowicie, dla serca pełnego cnót i pobłażania chrześciańskiego.

Był to kapłan w prawdziwem, co najczystszem tego słowa znaczeniu. Jedną miał wadę wedle zdania wielu z okolicy szlachty, jeźli można nazwać wadą, zaletę posuniętą do ostateczności. Namiętnie był przywiązany do rodzinnego kraju, ale tak namiętnie, że nie wahał się czy to w rozmowie prywatnej, czy z ambony, sławić miłość kraju jako pierwszą z cnót, jako pierwszy z obowiązków człowieka. Wedle niego, kto nie kochał swego kraju, kto nie był wstanie bezwzględnie wszystko dla niego poświęcić, i to wedle zdania wygórowanego jakie miał o tym przedmiocie, ten niebył godzien ani doczesnego ani wiecznego szczęścia.

W tej mierze był nieublagany i niengięty. A że zdania o dobru krajowem jak wiadomo różnią się najniepospoliciej, mało wedle niego było wybranych. Między wybranemi pierwsze oczywiście zajmował miejsce stary Wenda, którego ksiądz Godziemba czcił i kochał nad innych. I chorąży odwzajemniał się mu szczerem przywiązaniem, a sam niechciał rozpoczynać dzieła bez pomocy kościoła, Któż mógł gedniej reprezentować kościół, jeżeli nie ten czczigodny prałat, któremu wrogowie nawet szacunku swego odmówić nie mogli.

— Więc to na tego propagandzistę zawziętego czekano jeszcze? zapytał się książe Mieczysław.

— Zdaje się! będziemy zapewne mieli kazanie pełne gromów, burzy i entuzjazmu! odrzekł pan Artur z niejakiem rozstrzepaniem, bo zajał się był niepospolicie tym szczególnie upartym wzrokiem, jaki brygadier wciskał w bohatyra naszego.

— Pan brygadier admiruje swego mistrza rysunków.

Zadrzał brygadier, i spuścił oczy.

— Ja nie!.. ale zdało mi się... jego rysy..

—Że przystojny to niezawodnie!.. i tego samego zdania jest córka pańska panna Antonina...

— Moja córka?.. odrzekł bez uwagi i nagle zaśmiał się z szyderczym i złośliwym uśmiechem.

— Boję się zatem, abym nie musiał odstąpić... teraz gdy ten podrzutek przychodzi do nazwiska...

—Nie! o to bądź spokojny panie Arturze!.. Antosia musi być twoją.

— Cała też nadzieja moja w panu brygadierze, tem więcej...

— Tem więcej.. że ja mam obowiązek być panu Arturowi posłusznym jako jego dłużnik.

— Ja co innego mówić chciałem.... że nie dbam o posag...

Lecz brygadier już go nie słyszał. Oczy jego jakby wczarowane pociągały za każdym ruchem Witołda.

— Dziwne! dziwne rysy!.. mruczał sam do siebie.

Tymczasem drzwi otworzono od sali jadalnej, gdzie zastawione było sute śniadanie. Chorąży snać znał usposobienie swoich ziomków, którzy nie lubią być głodnemi, i ze czczym żołądkiem nie chętnie do jakiejkolwiek przystępują sprawy.

Sniadanie było prawdziwie polskie, a raczej litewskie, a zatem wyrachowane na skalę nam dziś niezrozumianą. Szlachta też rzuciła się z zapałem, przechodząc z nalewek bez końca do wędlin najrozmaitszych, a z wędlin napowrot do nalewek. A gdy na to wszystko przyszedł jeszcze stary miodek kowieński, humor obywatelski stał się ożywionym, a przywiązanie do gospodarza bez granic. Mianowicie szlachta drobniejsza, za każdym nowym kieliszkiem wpadała w ferwor niepospolity, odzywając się krzykiem:

— Nasz chorąży niech żyje! powtarzała bez końca szlachta zaściankowa.

I zapał przyszedł do takiego stopnia, że nawet Jurkowicze pogodzili się z Gałkiewiczami, zapomniawszy zwad kilkunastoletnich, a niepospolicie ważnych, bo Jurkowicze granicząc z Gałkami w wiecznym byli kontrowersie o kawałek wydmy piaszczystej funta kłaków nie wartej. A nawet pan Piotr i pan Paweł Niedankowscy pomagali innym do zgody słowem, kielichem i ściśnięciem ręki, chociaż pan Piotr dostał szramę ową od pana Remigiusza Jurkowicza, a pan Paweł oberwał znowu swoją bliznę od Eligiusza Gałkiewicza. (C. d. n.)

TĘSKNOTA.

(Dokończenie.)

Gdyby podsłuchać jak tam nad jarami
Wicher od morza rozmawia z sosnami,
Gdyby odetchnąć powietrzem stepowem
I serce ogrzać dźwiękiem narodowem!...

Smutno mi smutno iść w dzikie pustynie,
Jak czarna lawa tak życie me płynie
Pali tęsknotą i wichrem katuszy
Najtkliwsze strony rozrywa mej duszy...
Tam mnie wołają głosy Ukrainy
Wabią mogiły, przynęca Boh siny...
A tutaj duszno... tu mi nie wytrzymać
Więc po cóż czekać i po cóż się zżymać?...
Jeden rzut na dół, silny i zuchwały
A łeb roztrzaskam w przepaściach o skały..
Jeden rzut na dół — a duch uwolniony
Powita znowu rodzinne me strony
Przywoła w pamięć zmierzchłe szczęścia chwile.
Mmniejsza że ciało zjedzą krokodyle..

Lecz nie... przenigdy!.. Ja miałbym nikczemnie
Jak pajęczyna milczkiem zniknąć z ziemi,
Miałbym się zlęknąć ciernistego losu?
Miałbym zapoznać świętej prawdy głosu:
Że kto od Boga puhar naznaczony
Do dna wychyli ten będzie zbawiony.

Duchu mej matki z promiennej krainy!
Ty patrzysz na mnie, widzisz me przewiny:
Bojaźń, nikczemność, zwątpienie o sobie.
Och ja upadłem w tej złowrogiej dobie.

O matko moja coś mię wypieściła,
Ducha piosnkami rzewnemi poiła,
A gdy śród burzy i zimy zakrzepłem,
Ogrzałaś syna twoich piersi ciepłem,
Przebacz mi grzechu, co serce mi krwawi,
Niech duch twój dziecku twemu błogosławi:

O matkó, matko synem niedorodnym,
Stałością duszy ciebie chcę być godnym

Czuję jak myśli moje olbrzymieją,
Świat mi jaśniejszy, puszcze mi się śmieją.

Ja się nie zlęknę pod razami losu
Ani cierpienia i trudów kolosu!

Trudem, cierpieniem chcę dług spłacić życia
Mniejsza że ciernie kolą od powicia....
Gdy duchem męskim po dawnemu władnę!

A ty mię matko gdy pod trudem padnę
Przyjmiesz w objęcia za mogilnym progiem
Ukochasz mocniej i wsławisz przed Bogiem!

M. N. Z.

Reszty rękopismu Jana Chryz. Paska.

wydane z egzemplarza ces. publicznej biblioteki w Petersburgu, przez St. Lachowicza, na nowo przejrzane, z 6ciu rycinami. Wilno, 1854.

(Ciąg dalszy.)

Jak dobrze jest odrysowana figura Kurfirsta pruskiego, zastępującego w wojsku polskiem miejsce Jana-Kazimierza a kaptującego sobie serca tych nowych podwładnych, myśląc o koronie po zejściu ostatniego z Wazów; skoro tylko w mieście przechodziły komendy polskie, Kurfirst wychodził na podgańcze domostwa swego, kłaniał się, przez cały czas stał bez czapki, przeprowadzając wzrokiem i uśmiechem przeciągające hufce.

Wojewoda Czarniecki oddany wszędzie z osobliwszą miłością, jaka gorzała w sercu wszystkich jego podwładnych. Pasek wszędzie go zwie *dziadem*, ale w tej poufałości nawet przebija się słabość dla niego. Montecuculi, jenerał zaciężnych wojsk cesarskich, nie bardzo podzielał ten entuzyazm powszechny dla Wojewody; solą w oku były dla niego wszystkie jego sukcessa w Danii, kiedy on sam darmo tylko chleb jadł wraz ze swoimi. Osobliwie miał on urazę do Wojewody o to, że wszyscy oficerowie króla Duńskiego z nowemi werbunkami, nie do niego, ale do Wojewody ściągali się, i ztąd brali ordynanse, bo taki mieli od króla swego rozkaz; za pierwszem tedy widzeniem powadzili się o to.

Rzekł mu tedy wojewoda: „Nie trzeba tu się swarzyć, ani gniewać się o tę prezencyą, którą między nami uspokoić może żelazo. Tyś żołnierz, ja żołnierz, tyś jenerał, ja jenerał; sprawić się jutro.“ Jaki przedziwny lakonizm bohatyra! „Posłał tedy, mówi dalej Pasek, do niego Skoraszewskiego porucznika i Krajczego Koronnego Leszczyńskiego, wyzywając go na parol sam na sam, żeby wojska nie turbować; aleć dodaje Pasek, był tak grzeczny, że nie chciał wyjechać, wysłał jednak oficerów z pewnym traktatem, których gdy obaczył *dziad*, skoczył jako piorun ku nim supponendo że jenerał wyjeżdża; ale gdy zmiarkował że kto inszy, stanął, i obaczył relacyą. Kunfirszt był natenczas od nas o trzy mile, z wojskiem, kiedy się agitowało, ale gdy się obaczył z Montecuculim miał to mówić: Dobrześ uczynił, żeś nie wyjechał, bo gdybyś był z Czarnieckim jaki uczynił experyment, pewniebyś to był i ze mną uczynić musiał, bom ja tu jest w osobie króla polskiego.

Pasek ma osobliwszy talent wystawiania dramatycznie ósób, oddawania charakterów w kilku wyrazach; w taki sposób wystawił nam charakterystycznie Karola-Gustawa. Szwedzi porwali na podjeździe towarzysza Myśliszowskiego i posłali Królowi Szwedzkiemu pod Kopenhagę. Tam Król, pomiędzy innemi rzeczami pytał go: «Co to jest za wojsko z Czarnieckim?« Powiedział: „które zwyczajnie w jego dywizyi chodzi.“ Pytał: „Gdzieżeście wtenczas byli kiedy ja był w Polsce?“ Powiedział: „Tameśmy też byli i bijaliśmy się z wojskiem W. K. Mci. „Czemużeście tak dobrze nie wojowali jak teraz?“ Odpowie: «Tak snać była wola Boska.» Mówi król: „I to racya; ale ja tobie popowiem drugą, a to tę, że nie każdyby trafił do domu, gdyby się dostało przegrać i dla tego staracie się żeby zawsze wygrać.“ Towarzysz zamilknął. Król pyta: „A czemuż milczysz?“ „Bo przeciwko prawdzie nie mam co mówić.“ To naturalność jak i rzetelność psychologiczna i dziejowa; tak musiał mówić król, tak musiał odpowiadać więzień, czujemy to żywo; ale tak rozumieć rzecz tę mógł tylko artysta. Dyalog ten mógł by wystąpić w owych kronikach dramatycznych Szekspira i nic im nie ująć z prawdy. Jaka to nauka dla romansopisarzy, co tak lubią rozwodzić dyalog, ustrzępiać go szumnemi słowy, zwłaszcza jeśli te mają wychodzić z ust monarchy. Kilka wyrazów prostych więcej daleko mogą powiedzieć niż całe owe tyrady. Co może być więcej charakterystycznego n. p. jak ta lakoniczna rozmowa, tegoż samego Karola-Gustawa z z kanonikiem Starowolskim, przy grobach Królów w Katedrze Krakowskiej, które Szwedzki monarcha zwiedzał w kapeluszu na głowie; kilka tylko wyrazów prostych, ale namaszczonych mądrością słowa Bożego, i niezwyciężony bohater ugiął dumnego czoła przed świątynią pańską. Rozmowa Króla Szwedzkiego z prostym towarzyszem Myśliszewskim, jest jakoby *pendant* do tych kilku słów wierszowych, wymówionych ustami kapłana, w obliczu grobów, kryjących w sobie popioły wszystkich wielkości ziemskich. Kto wie, czy rozmawiając potem z tym jeńcem, Król Karol-Gustaw nie powtarzał sobie w duchu słów Starowolskiego: fortuna variabilis, Deus admirabilis!

Król Jan Kaźmierz i jego dwór skreślony doskonale przez Paska; zdaje się, że patrzymy nań oczami autora Pamiętników, widzimy królowę, kanclerzy, ministrów, panów i pokojowców; poznajemy nawet osobliwszego niedźwiadka, który tak nieprzystojnie obszedł się z królową; widzimy króla przy uczcie u Krasińskiego, kiedy mu dworzanin daje znać o śmierci Ludwiki, co było wcale nie w porę, więc król dał w gębę owemu dworzaninowi, mówiąc:

„Nie pleć, o co cię niepytają!” Mazepa udaje Paska przed królem; przygoda Mazepy, która posłużyła Byronowi do jego poomatu. Śmierć Czarnieckiego poruszyła Jana Kazimierza; przemawia z żalem do Paska o Wojewodzie, a na odpowiedź Paska, który serdecznie kochał swego wodza, Król rzewnemi zalewa się łzami. Wierny to był sługa tronu i najpierwsza jego podpora; Pasek, oskarżony o związki z partyą Lubomirskiego, jest zatrzymany i badany; stawi się przed Królem i broni swej własnej sprawy, w obec panów. Najciekawszą sceną, godną romansu Walter-Scotta, jest spotkanie Jana Kazimierza z szlachcianką Sułkowską, która głośno zaczęła na niego poszczekować, kiedy ten przyjechał do nich w gościnę, za wicherek brzeziny, który jej wyrąbano na szałasze do obozu; Król zawrócił nazad po takiem przywitaniu i już nie pojechał do tego szlachcica Sułkowskiego, do którego nudząc się w Rawie, chciał pojechać, aby się rozerwać.

Pani Sułkowska była baba rezolutka; nałajawszy i naprzeklinawszy siła u wrót własnego domu, na drugi dzień udała się doKróla, prosząc o audencyją, kazawszy o sobie powiedzieć: że ta szlachcianka, do której domu Król Jmść nie chciał z konia zsiąść, prosi, żeby się mogła pokłonić. Przyjął ją Król; omówiła się tedy, że to co uczyniła była wczoraj, musiała była uczynić z żalu, mając szkody poczynione, a osobliwie żaliła się o brzezinę, którą sobie miała za wirydarz, zaraz podedworem. — „Otóż ja wam dam, moja pani, rzecze Król, przywilej taki, że wam koniecznie przez lat 6 albo 7 wróci się taka druga brzezina, a teraz ją wam każę zapłacić, tylko niebądźcie tak złą.“ Kazał tedy babie dać 2.000 złp., a onaby była nie wzięła za tę brzezinę 150 złp. choćby ją była na targu w Rawie sprzedawała, boć tam był jej nie wielki wicherek. Nieszczęśliwy był Jan Kazimierz do starych babulek. Jan Kazimimierz goniąc, niby Lubomirskiego, zabrał się z Królową, z fraucymerem, z całym dworem z Warszawy, bo chciał żeby do tego gonionego tańca i damy należały. Król gonił nie goniąc, Lubomirczycy uciekali nie uciekając; wojna była osobliwa. Bawiąc się w tego gonionego, wiele szkód porobiono, o co się przed Królem żaliła jedna szlachcianka. Król, ukontentowawszy ją jakąś tam largicyą, mówi do niej: „Przebaczcie pani; tak to wojna umie; a oto gonimy tego zdrajcę a ucieka ram.“ Aż szlachcianka rzecze: „A, miłościwy Królu, dziwnie to jest zaprawdę gonienie, mogąc dogonić a nie gonić; dyć ja to stara baba, a jeszczebym się go podjęła dziś dogonić.“ Król się skonfundował, a potem jej coś więcej kazał dać.

(D. n.)

Magnetyczne kuracje.

Magnetyzm, który do niedawna służył jednym za zabawkę, drugim wydawał się bajką, a w wszystkich prawie uchodził za czcze tylko marzenie, przechodzi teraz coraz więcej na dziedzinę rzeczywistych umiejętności, i staje w rzędzie praktycznie najpożyteczniejszych środków lekarskich. Nadaremnie opierają się rozprzestrzenieniu tego środka egoistyczni lekarze, w których interesie nie są takie środki szybko działające, mnogich odwidzeń i długomiesięcznej jeżeli nie długoletniej kuracyi nie wymagające; nadaremnie ludzie zimni ubiegający się w każdej rzeczy za namacalnemi jeno, matematycznemi prawdami, okrywają śmiesznością skutki magnetyzmu, lub co gorzej przypisują je dobrze ukartowanemu szalbierstwu.

Daremne ich usiłowania; próżne zabiegi złej wiary i zastarzałych przesądów. Znaleźli się ludzie serca i głowy pomiędzy samemi lekarzami, którzy naukę magnetyzmu podnieśli, i za pomocą sumiennych a pracowitych doświadczeń, do szczególnie ciekawych doszli rezultatów. Aby wszelkie usiłowania w tej mierze nie przepadały jak dotąd rozstrzelonemi i izolowanemi doświadczeniami, założyli w Anglii i Francyi towarzystwa, złożone z lekarzy, fizyków, chemików i innych ludzi uczonych, którzy wszyscy pracują nad zastosowaniem magnetyzmu do przypadków jak najrozmaitszych, i udzielają sobie nawzajem własnych doświadczeń, za pomocą pism publicznych i osobnych na ten cel zafundowanych dzienników.

Jednym z najlepszych tego rodzaju dziennikiem, jest: *Journal de Magnetisme*, wydawany w Paryżu przez barona du Potet. Ciekawe w nim znajdują się szczegóły, mianowicie co do szczególnych wypadków gdzie magnetyzm okazał się prawdziwie cudownym środkiem. Szacowna także w tym rodzaju prócz wielu innnych jest broszura pod tytułem *Catéchisme raisonn éde l'Aspirant Magnétiseur,* przez p. J. A. Gentil napisany. W tem ostatniem mianowicie dziełku, stara się autor, zdefiniować i zrozumiałem zrobić ten w człowieku niezaprzecznie istniejący płyn magnetyczny, który nie jest czem innem jak tylko wypływem nojdelikatniejszym i najżywotniejszym wszystkich soków żywotnych przez człowieka spożytych, a który jeden drugiemu pod pewnemi warunkami, za pomocą spotęgowania własnej woli, udzielić może do skompletowania, brakujących tamtego, lub poniszczonych sił żywotnych.

Najszacowniejszem wszakże w tej mierze dziełem są listy Odo - Magnetyczne po niemiecku oryginalnie napisane przez pana Reichenbacha. Dzieło to jest prawdziwym skarbem. Pan Reichenbach bowiem (w pamiętnikach lekarza, wspomina o nim nasz Tripplin jako o osobistości nadzwyczaj uzdolnionej) nie wdaje się w tworzenie i tłómaczenie teoryjów mniej lub więcej podobnych do prawdy; on nie dyskutuje, ale wprost powiada: «Postępując w ten lub ów sposób, pod takiemi, a takiemi warunkami, otrzymałem taki a taki rezultat, widoczny, jasny, namacalny. Pisze on zarówno dla ludzi uczonych, jak i dla takich tylko, którym wystarczą wyobrażenia jak najpobieżniejsze o chemii i fizy-

ce, aby się sami przekonać mogli o prawdzie jego twierdzeń. Dzieło p. Reichenbacha stanowi epokę niezaprzeczoną w tej nauce; stare wiadomostki i doświadczenia magnetyczne zamyka on już na zawsze, a otwiera świat zupełnie nowy, szeroki, odkryć zadziwiających po których drodze przyzna to każdy człowiek dobrej wiary, nauka o magnetyzmie olbrzymie robić musi postępy.

Że magnetyzm nie jest nowym wynalazkiem to już dzisiaj żadnej nie podpada wątpliwości; istniał bowiem za czasów najdawniejszych, używany i stosowany w najodleglejszej starożytności, przez kapłanów wszech religii, obslaniających go naumyślnie urokiem cudownej tajemniczości. Jednem słowem jest to naukowe Herkulanum, zasypane wiekami zapomnienia, przesądów, ciemnoty i umyślnego zaniedbania.

W czasach późniejszych, przy końcu wieku minionego, wskrzesił tę naukę pierwszy Mesmer. Doświadczenia jego czynione za czasów Ludwika XVI. uderzyły myślących, którzy w różnych krajach mimo mnogich trudności i ograniczeń, nie przestali pracować nad wykopaniem tej zagrzebanej umiejętności. Postęp zrobiony od czasów Mezmera, chociaż się opiera na pierwszych jego próbach jest niezmierzony.

Gdy w późniejszych czasach rozeszły się zadziwiające wieści o stanie jasnowidzenia osób przez magnetyzm w sen wprowadzonych, zdało się to już *non plus ultra* skutków jakie magnetyzm może wywierać. Wszyscy zaczęli się rozbijać za tym środkiem, który wprowadzał człowieka w stan exaltacyi, oderwania się ducha od ciała. Lecz to nie było ostatnie jeszcze słowo, i nawet ubieganie się za tym jedynie rezultatem, stawało niejako na zawadzie szerszemu i pożyteczniejszemu rozwojowi tej nauki. Z jednej bowiem strony stan jasnowidzenia nie był każdemu przystępny, zależąc po większej części od osobistego usposobienia osoby magnetyzowanej, i od stosunku magnetyzującego do niej; z drugiej zaś strony podawał on sposobność wielu szarlatanom do oszukaństw mnogich. Dziś już doświadczenia późniejsze przekonały, że uśpienie magnetyczne, i stan jasnowidzenia, są tylko fenomenami, bez których leczenie za pomocą siły magnetycznej obejść się może zupełnie. W dzienniku o którym mówiliśmy wyżej, ciekawe w tej mierze wyczytać można szczegóły, o których prawdzie wątpić niepodobna, czytając nazwiska należących do towarzystwa znakomitych lekarzy. Dziś już przyprowadzono do tego, że lekarz może wyleczyć chorego sam jeden, bez radzenia się jasnowidzącej, za pomocą pociągnień magnetycznych, czasem nawet za pomocą prostego przykładania ręki, przez jeden lub kilka razy, stosownie do słabości chorego.

Dziś już te pociągania magnetyczne i onych używanie, obrócone jest w pewien rodzaj systematu, zrozumiałego umiejętnemu lekarzowi, który umie go zastosować.

Dziś wiedzą już doskonale lekarze oddający się tej nauce, na które słabości mianowicie, najzbawienniejsze jest leczenie magnetyczne. Nie jest tu miejsce w piśmie naszem abyśmy cały naukowy podawali w tej mierze wywód; powiemy jednakże, że rzeczywiście cudowne wydarzają się zdarzenia, mianowicie w słabościach nerwowych, reumatycznych, artrytycznych, a nawet w wypadkach epileptycznych. Mamy przed sobą jeden Numer wspomnionego dziennika, dającego obraz statystyczny kuracyj magnetycznych. Na 40 wypadków 16 chorych ozdrowiało po pierwszem zaraz zastosowaniu siły magnetycznej, 11 chorych potrzebowało 3 do 6 prób a dla 13 tylko trzeba było trzech do dziesięciu tygodni. W tych samych wypadkach dwa były epileptyczne, z których jeden po 8 dniach został zupełnie usunięty; dwa głuchoty, jeden zupełnej prawie ślepoty, a jeden paraliżu; ze wszystkich zaś 40 wypadków 28 kuracyi udało się bez wprowadzenia w sen, prostemi pociągnieniami magnetycznemi. Zdarzył się nareszcie wypadek wariacyi, usuniętej po trzech dniach. Niesąż to rezultata zadziwiające, ledwie do prawdy podobne, a tymczasem najprawdziwsze, bo prócz rękojmi samegoż towarzystwa wydającego dziennik, są w tym dzienniku dane poświadczenia najwierzytelniejsze. Co jeszcze podnosi taki rodzaj kuracyi, gdy się nań zapatrzymy z wyższego stanowiska, jest jeszcze ten szczegół, że aby być zdolnym lekarzem magnetycznym, nietylko trzeba posiadać naukę, ale więcej jeszcze trzeba być obdarzonym większą wartością moralną i siłą chrakteru, nauka z rzemiosła prawie staje się kapłaństwem. Im kto prowadzi życie moralniejsze, oderwane od brudnych namiętności człowieka, im silniejszą ma wolę, tem jest lepszym magnetyzerem; bo taki człowiek posiada większą siłę żywotną w sobie, której może choremu udzielić, bez zrobienia sobie uszczerbku; bo tylko mąż prawy i cnotliwy, zdoła w sobie samym skupić siłę swoją moralną tak dalece, by za pomocą męskiej woli swojej płyn magnetyczny udzielić drugiemu. Nie jestże to to piękna i pocieszająca dla ludzkości myśl, że jeżeli z jednej strony rozprzestrzenienie magnetyzmu przykładałoby się do zmniejszenia cierpień fizycznych, trapiących ludzkość, z drugiej strony cały liczny zastęp lekarzy, staćby się musiał nie tylko wzorem nauki ale i moralności. A tacy lekarze ciała, czyliżby dobroczynnie wpłynąć nie mogli tyle samym przez siebie samych dawanym przykładem prawości moralnej i tęgości charakteru, na zmniejszenie liczniejszych jeszcze od chorób przywar moralnych. (D. n.)

Rozmaitość.

* Na wystawę paryską zamyśla izba handlowa lwowska wysłać kilku kształcących się w zawodzie rzemiosł i przemysłu, aby potem pouczywszy się o postępie tych gałęzi za granicą, w kraju z zebranych wiadomości rękodziełom i przemysłowi w pomoc przyjść mogli. Lecz gdy izba handlowa funduszu niema, więc wezwała wszystkich ludzi przemysłowych i rękodzielników, również jak i sprzyjających postępowi industryi do składek. — Nie wątpić iż odezwa ta znajdzie przychylność wszędzie, i zbierze się dostateczna kwota do wysłania ludzi zdolnych a nie zamożnych na wystawę.

* Wczoraj wystąpił w teatrze polskim pan Karsznicki, nowo angażowany z towarzystwa aktorów z Lublina. P. Karsznicki, jako najznakomitszy z aktorów lubelskich, z których kilkoro ma jeszcze przybyć do Lwowa, ma zastąpić role pana Nowakowskiego. Odegrał rolę jenerała Morin w uliczniku paryskim, i szlachcica Hulakowskiego. Odrecytował jako pilny student lekcją, której się dobrze na pamięć nauczył. A choć w dzisiejszym składzie posiada pan Chełchowski do ról podobnych zdolniejszego a tańszego artystę, pana Urbańskiego, spodziewać się jednak należy że panu K. swemu uczniowi nie odmówi pamięci, a uczeń dawny teraźniejszego dyrektora, będzie mu w odwet najulegléjszym, do wszystkich posług teatralnych. Obszerniej o wczorajszem przedstawieniu w następnym numerze.

Przyjechali od dnia 9. do 11. Maja. do Lwowa.

PP. Gumowski Hieronim z Przemyśla. Medwej Franciszek ze Stupnicy. Konopka Franciszek ze Zaleszczan. Wierzchowski Juliusz z Brodów. Lewartowski Franciszek z Brodów. Komarnicki Bolesław z Jackowiec. Czerwiński Jan ze Złoczowa. Obertyński Leopold ze Stronibab.

PP. Stadnicki Juliusz z Tarnopola. Wereszczyński Nikodem z Teofipolki. Dunin Jan z Głęboki. Kuczyński Władysław z Szolomyji. Wybranowski Alexander z Kosowy. Gosztyła Jan z Domaradza.

Wyjechali od dnia 9. do 11. Maja ze Lwowa:

PP. Bogusz Marcin do Artassowa. Ośmiałowski Szymon do Zanczyna. Zabielski Józef do Tarnopola. Kronstein Hipolit do Krechowa. Borkowski Władysław do Lubienicy. Hudetz Wacław do Bolechowa. Thullie Stanisław do Żołkwi. Korzeniowski Alexander do Machnowa. Jaruntowski Jan do Malkowic.

PP. Czacki Alexander hr. do Przemyśla. Serwatowski Wojciech do Rejtarowicz. Jendrzejowicz Stanisław do Felsztynu. Sieminski Wilhelm hr. do Wiednia. Starzyński Leopold hr. do Sambora. Kotkowski Włodzimierz do Czerlan. Wierzchlejski Franciszek do Przemyśla. Dąbrowski Józef do Sasowa. Kopczyński Ignac do Tarnopola. Radziejowski Edward do Żołkwi. Batowski Antoni do Kulikowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 11. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$127\frac{3}{4}$	Pożyczka 5% $80\frac{1}{16}$ $4\frac{1}{2}$	$69\frac{7}{8}$
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{1}{4}$	Akcye banku	992
Londyn za 1 funt szterl.,	12 26	Kolej północna	$1868\frac{3}{4}$
Medyolan za 300 lirów	$126\frac{3}{4}$	Obl. ind.	73
Paryż za 300 franków .	$148\frac{1}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	$101\frac{5}{8}$
Agio duk. ces. . . .	—	Pożyczka narodowa . .	$84\frac{7}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

	Gotówka				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	48	złr.	5	kr.	52
Dukat cesarski	«	5	»	52	»	5	«	55
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	10	»	5	«	9
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	57	«	1	»	58
Talar pruski	»	1	«	53	»	1	«	55
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	»	1	«	25	»	1	«	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	92	«	35	»	92	«	55
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		72	»	6	»	72	»	30
5 proc. pożyczka narodowa		83	»	—	»	81	«	—

Lwów, 11. Maja. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 37 złr. 30 kr. do 40 złr. — kr. — Żyta po 29 złr. 10 kr. do 29 złr. 30 kr. Jeczmienia po 24 złr. — kr. do 24 złr. 30 kr. Owsa po 17 złr. 30 kr. do 20 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po — złr. — do 16 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 53 złr. 8 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 43 złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. 45 kr. do 6 złr. 15 kr. Centnar słomy 2 złr. 20 kr. do 4 złr. 10 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 17 kr. w. w.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**